

Dzień, w którym Bóg odpoczął

Świętowanie niedzieli w naszym małżeństwie najczęściej zaczyna się od Eucharystii o godzinie 8.30. Mąż jest nadzwyczajnym szafarzem Komunii Świętej, więc pomaga księdzu proboszczowi w czasie Eucharystii (w naszej parafii nie ma drugiego kapłana). Po Eucharystii wspólne śniadanko, kawka (najlepsza kawka jest w Kawce – mieszkamy w miejscowości o takiej nazwie...) i wspólne przygotowanie obiadu (chyba, że uda nam się to zrobić w sobotę☺). Bardzo lubimy niedzielne obiady, na które przyjeżdżają nasze dzieci z wnuczętami. Wspólna modlitwa przed posiłkiem i potem spędzanie czasu razem (ostatnio przeważnie na zabawach z wnukami), czasem spaceru lub przejażdżka rowerowa. Niedziela to czas oderwania się od pracy - tej zawodowej i – na ile to możliwe - domowej. To czas zwolnienia tempa w całotygodniowej bieganinie za troskami tego świata. Nie dlatego, że mamy idealnie posprzątany dom, perfekcyjnie wypielęgnowany ogród, wszystko wyprane i wyprasowane, bo tak nie jest, ale siódmy dzień to czas, kiedy BÓG odpoczął. Jeśli nie chcemy żyć w sprzeczności z Nim, to nie ma się co zamartwiać, że tyle jeszcze do zrobienia. Nigdy nie spędzamy świątecznego czasu na zakupach w supermarketach. Po pierwsze, z szacunku do osób w nich pracujących. Dla mnie (Hani) jest to współczesna postać niewolnictwa. Po drugie, należymy do pokolenia, które zakupy w czasach wczesnego małżeństwa robiło w soboty do godziny 13.00! Nasze sklepy osiedlowe były potem zamknięte i świetnie dawaliśmy sobie radę.

Dzisiaj nie mamy więcej czasu niż wtedy, ale staramy się go spędzać właśnie z rodziną, szczególnie w niedzielę. W czasie, kiedy z godnością (tak się nam wydaje) starzejemy się, cenimy sobie bardzo niedzielę jako dar od Boga. Staramy się ten czas dać szczególnie naszym najbliższym, ale też i sobie.

Hanna i Tadeusz Zych

Niedziela to bycie razem

Czym jest dla nas niedziela? Z perspektywy czterdziestu jeden lat małżeństwa możemy powiedzieć, że przede wszystkim byciem razem. Tak było od początku, choć oczywiście formy owego bycia ulegały zmianom. Przez pierwszych osiem lat Jerzy pracował w hucie w systemie zmianowym i rzadko mógł mieć ten dzień wolny. Staraliśmy się jednak tak ułożyć zajęcia, aby ów czas jak najlepiej wykorzystać. Wspólne celebrowanie śniadania, a po nim porannej kawy to element niezmienny do dziś. Niełatwo było przy tym o świąteczną atmosferę. Któreś z dzieci kaprysiło, któreś coś rozlało, inne akurat wtedy miało zły humor i żal do całego świata... Nam też puszczały nerwy. W końcu jednak wszystko się „ogarniało”, po burzach wracała pogoda, bo zbliżał się punkt kulminacyjny – wyjście na Eucharystię. Na szczęście do kościoła nie mamy daleko, ale i tak diabeł mocno się trudził, by nam to wyjście przynajmniej mocno utrudnić, skoro nie udało mu się tego uniemożliwić.

W domu dzieci przybywało, potem ubywało, ale niezależnie od tego, ile nas mieszkało razem, organizowaliśmy zajęcia kierując się godziną Mszy Świętej. Najczęściej była to ta o 12.30, ale czasem trzeba było być na wcześniejszej (dla nas bardzo trudne zadanie!), a czasem na popołudniowej. W miarę możliwości starałam się wszystko przygotować dzień wcześniej, ale i tak zawsze pojawiały się (i pojawiają!) niespodziewane przeszkody. Po powrocie z kościoła ostatnie czynności związane z obiadem i znów wspólny posiłek. Przez kilka ostatnich lat gościła na nim u nas zmarła niespełna dwa lata temu mama Jerzego. Ważne jest dla nas, że w tym dniu możemy razem zasiadać do stołu, razem pomodlić się przed posiłkiem. Ale tego nauczyły nas dzieci! Po powrocie z rekolekcji my z przyzwyczajenia zasiedliśmy nad talerzami, łyżki w dłoń, a dzieci: „A modlitwa?”. Ups! I tak dzięki dzieciom modlimy się dziś wspólnie również z wnukami.

Korzystanie z telewizji w ciągu tych 41 lat redukowaliśmy zdecydowanie, choć stopniowo, ale oczywiście jest ona nadal obecna po południu. Wyjścia były raczej rzadkie, a jeśli już, to wspólne, podobnie jak gry planszowe lub w karty (gra w remika to wspaniałe ćwiczenie w dodawaniu pamięciowym!). Oczywiście każdy też miał możliwość spędzenia czasu po swojemu. **To wspólne przebywanie nie było narzucone, wynikało z chęci bycia razem, przyjętych wartości i rytmu dnia.**

Pokusy robienia zakupów były sporadyczne, ale silne. Pojawiały się, gdy wychodził na jaw niespodziewany brak jakiegoś niezbędnego artykułu, np. soli, mąki, cukru. Jednak zamiast do sklepu, szłam wtedy do sąsiadki albo starałam się o jakiś zamiennik. Raz jednak ulegliśmy pokusie. Wracając ze Swarzewa, jak zwykle odwiedziliśmy rodzinę w Elblągu. Okazało się, że mają urlop i nareszcie będziemy mogli gościć ich u siebie. Z radością w sobotę wyruszyliśmy we wspólną podróż. Wysłałam SMS-a córce, która doglądała naszego mieszkania, aby zrobiła zakupy. Po drodze widziałam otwarte sklepy (przy niektórych nawet się zatrzymywaliśmy) i miałam chęć kupić to i owo na niedzielne posiłki... ale po co? Przecież wysłałam SMS-a... Nie wiedziałam, że córka go nie otrzymała, a sądziła, że ja na pewno coś kupię, bo przecież wracamy z gośćmi. Gdyby nie kanapki zabrane na drogę, znalezionych w

Iodówce zapasów nie starczyłoby chyba nawet na kolację. Więc rano, gdy oni jeszcze spali, udaliśmy się do marketu i zrobiliśmy dość potężne zakupy. Do dziś nie wiem, czy była to dobra decyzja, ale była. Stało się. Został jednak wyrzut sumienia i świadomość, że Pan wiedział o tym nieotrzymanym SMS-ie i dlatego podsuwał mi te myśli o zakupach.

Od blisko 30 lat wśród zwykłych niedziel w ciągu roku mamy też te wyjątkowe, gdy przyjeżdża z Krakowa nasz drogi przyjaciel, ksiądz Kazimierz, aby z nami czytać, rozważać i wyjaśniać nam słowo Boże. Początkowo przyjeżdżał dla trzech osób (my i nasz znajomy), potem grono się poszerzało. Jedni przychodzili, inni odchodzili, niektórzy wracali. Obecnie wykrystalizowała się stała grupa licząca około 20 osób, choć bywa i tak, że nie wszyscy mogą być obecni. Spotkania poprzedzone są - a jakże by inaczej - wspólnym z ks. Kazimierzem obiadem, kończą się też agapą. Te chwile wrosły w rytm życia naszej rodziny, stały się częścią jej historii. One też, gdy dzieci mają już swoje życie, uświadamiają nam prawdę, że z powodu Ewangelii otrzymujemy teraz, w tym czasie, więcej niż mieliśmy braci, sióstr, matek, dzieci (por. Mk 10,28-31) i pozwalają ufniej oczekiwać na życie wieczne. Ono też jest wieczną niedzielą, wiecznym byciem razem ze wszystkimi mieszkańcami nieba.

Ewa i Jerzy Krakowczykowie

Jeśli dziś rosół, to na pewno jest niedziela

To jest rodzaj spadku. Jakaś stała i pewna rzecz, idąca przez pokolenia, jak cenna broszka albo pierścionek. Tradycja. Świątowanie niedzieli w naszej rodzinie zostało przejęte z dobrodziejstwem inwentarza od babci męża, z którą mieszkaliśmy kilkanaście lat. U gospodyni starej daty, pamiętającej, jak to bywało przed wojną, głównym punktem dnia był obiad, do którego zasiadali wszyscy domownicy. Było nie do pomyślenia, by na stole pojawiła się zupa inna niż rosół. Jego przygotowanie rozpoczynało się dzień wcześniej, pieczołowitym posoleniem dwóch rodzajów mięsa w ściśle określonych proporcjach. W niedzielny poranek wszystko łądowało w garnku (powinno się gotować na wolnym ogniu przez minimum cztery godziny), a gospodyni wyruszała do kościoła. Wychodziła na pierwszą Mszę Świętą; my szliśmy dopiero na sumę. A rosół gotował się powoli, aż do naszego powrotu.

Ja robię dokładnie tak samo. Czasem tylko, zamiast kurczaka, używam mięsa z kaczki. Podobno zdrowsze. No i nadal chodzimy na Mszę w południe. Na czas nieobecności wyłączam palnik pod garnkiem. Do niedzielnego obiadu zasiadamy jednak w różnym składzie. Naszym niedzielnym gościem była często moja mama, która zmarła w ubiegłym roku. Córka studiuje w innym mieście. Dla męża niedziela bywa dniem pracy, kiedy tak akurat ułoży się grafik służb. Mimo tych wszystkich zawirowań niezmiennie pozostają: niedzielna Eucharystia (choć czasem przeżywana w sobotę wieczorem) i niedzielny rosół. Nasz siedmioletni syn mógłby go jeść w zasadzie przez cały tydzień – to jego ulubiona potrawa.

Na każdą niedzielę rosół według babcinego przepisu przygotowuje również moja teściowa. I choć obie robimy go tak samo (bo przecież od tej samej osoby pobierałyśmy nauki), to jednak jej smakuje lepiej. Może to przez tę kaczkę? No cóż, jeszcze kilkadziesiąt lat doświadczeń i pewnie też dojdę do perfekcji 😊. Niedzielne obiady u teściów to także od jakiegoś czasu nasz sposób na świętowanie. Spotykamy się wówczas z siostrami męża i ich rodzinami. Czasami, gdy ze studiów zjedzie młodsze pokolenie, robi się bardziej niż zwykle gwarno, ciasno i radośnie. Przy kawie i niedzielnym ciastku potrafimy przegadać długie godziny. No bo o ciastku na niedzielę też nie wolno zapominać! Jeżeli jest w planach jakieś bardziej skomplikowane, warto zacząć je przygotowywać odpowiednio wcześniej. W takim przypadku niedziela może zacząć się już w piątek. Bo – jak pamiętacie – w sobotę solimy mięso na rosół.

Monika

Eucharystia i przebywanie razem

Długo się wahaliśmy, co możemy napisać o świętowaniu niedzieli. Jeszcze kilka lat temu z racji pracy w służbach mundurowych miałem wolną jedną lub dwie niedziele w miesiącu, a nieraz żadnej. Podobnie było również ze świętami. Przez ostatnie lata wszystkie niedziele mam wolne i wraz z żoną każdą niedzielę zaczynamy od uczestnictwa we Mszy Świętej. Dla mnie osobiście czym wcześniejsza Msza, tym lepiej. Nie uznaję zupełnie zakończenia niedzieli Mszą Świętą, a więc są to zawsze Msze poranne. Ponieważ jestem nadzwyczajnym szafarzem Komunii Świętej, raz na cztery tygodnie po pierwszej porannej Mszy udaję się do chorych z Komunią (w mojej parafii jest czterech szafarzy). Po Mszy Świętej, zależnie od pory roku, spędzamy niedzielę w domu lub odwiedzamy np. dzieci z wnukami (albo oni odwiedzają nas). Nieraz są to jakieś wyjazdy a w porze letniej pobyt na działce. **Unikamy całkowicie wykonywania jakichkolwiek prac niekoniecznych.** Jeżeli w niedzielę jesteśmy poza domem, to przede wszystkim sprawdzamy, o której w miejscowym kościele jest Msza Święta i od uczestnictwa w

niej zaczynamy niedzielę. Nie ma dla nas żadnego znaczenia, czy osoby, z którymi przebywamy poza domem, planują wyjście do kościoła, ale oczywiście im to proponujemy.

Jeżeli chodzi o kwestię niedzielnych zakupów, to pamiętamy czasy, kiedy były tylko niedziele handlowe przed świętami, a normalnie w niedzielę po południu były czynne dyżurne delikatesy, z których korzystało się w pilnych potrzebach, np. gdy zabrakło chleba albo pojawili się niespodziewani goście. W delikatesach nie było dużych kolejek i były to naprawdę zakupy sporadyczne. Aktualnie **całkowicie zaprzestaliśmy robienia zakupów w niedzielę** (wcześniej zdarzały się takie przypadki).

Podsumowując, musimy przyznać, że nie robimy nic nadzwyczajnego; najważniejsze dla nas jest uczestnictwo we Mszy Świętej i spędzenie niedzieli razem z żoną lub w gronie rodzinnym nieraz znajomych.

Dorota i Bogusław
archidiecezja szczecińsko-kamieńska